

*Z Kanady po raz trzydziesty siódmy*

## **Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!**

Trzydziesty siódmy list z Kanady rozpocznę od opisu smutnych przeżyć. Jak w Polsce, w dniu 1 listopada w kościele wspominamy Wszystkich Świętych, a więc ludzi, którzy osiągnęli zbawienie i nam wskazują drogę do nieba wytyczoną przez Zbawiciela. Po południu prowadziłem modlitwy na jednym z torontońskich cmentarzy, oczywiście, po polsku. Przywieziono mnie 10 minut przed rozpoczęciem modlitw i wtedy podeszła do mnie pewna pani, przedstawiła się, że jest redaktorką polskiej gazety, podstawiła magnetofon i prosiła o powiedzenie kilku słów. Oczywiście, odmówiłem bojąc się, że w gazecie ukaże się zniekształcony fragment mojej spontanicznej wypowiedzi bez przedstawienia mi do autoryzacji. Tu mam doświadczenie, także z Kanady. Wówczas pani dziennikarka poprosiła, abym prywatnie powiedział jej o tym, co będzie i dlaczego jest? Odpowiedziałem, że moja prywatna wypowiedź też znalazłaby się w gazecie, więc po co oszukiwać? Nie zaprzeczyła. Odeszła, ale po konsultacji z oczekującym dziennikarzem powróciła, aby zapytać mnie o nazwisko. Nie widziałem potrzeby. Dziennikarka też mi się nie przedstawiła. Natomiast same modlitwy – jak w Polsce – przebiegły spokojnie, w skupieniu. Tu spoczywają ciała wielu polskich katolików, więc korzystałem ze wzmacniacza. Alejkami mnie nie prowadzono. Pomniki nie przeszkadzają, chociaż nie mogę przyzwyczaić się do deptania tablic ułożonych w trawie tak, aby można było przycinać kosiarkami. Trzeba przyznać, że cmentarze są zadbane, chociaż groby mniej odwiedzane, niż w Polsce. Po procesji ksiądz jest proszony o poświęcenie nowych pomników. Tym razem tylko trzy rodziny mnie o to poprosiły.

Trzy dni później prowadziłem modlitwy przy pomniku-tablicy Sybiraków. Już niewiele osób uczestniczyło w modlitwach, a przejeżdżające tramwaje nieco utrudniały odmawianie Różańca. Powitanie przez przedstawicieli Związku Sybiraków trwały pięć minut, zaś modlitwy piętnaście, zgodnie z planem. Pozostało 25 minut do Mszy Świętej w naszym kościele i wszyscy spokojnie zdążyli. Tym razem pani dziennikarka już do mnie nie podeszła, chociaż zdjęcie także zrobiła. Po modlitwach przeszliśmy do kościoła, gdzie Sybiracy dziękowali Bogu za ocalenie życia i opiekę w drodze do Kanady. Warto posłuchać ich wspomnień. Szkoda, że tak niewiele osób decyduje się na świadectwa pisane.

„Szewc bez butów chodzi”. Znanie przysłowie, ale zastosowanie jego jest nietypowe. Już pisałem, że we wrześniu dwóch moich kolegów zmarło i z dwudziestu czterech pozostało nas trzynastu, niektórzy są już emerytami, niektórzy stać się nimi przymierzają. Wiele tygodni minęło, zanim ja mogłem ofiarować Mszę Świętą za każdego z nich. W naszej parafii jest tyle intencji, że na przyszły rok 2006. w dniu rozpoczęcia przyjmowania intencji prawie wszystkie niedzielne Msze święte zostały zamówione. Jeszcze rano w dni powszednie można znaleźć wolne terminy. Ja skorzystałem z przyjazdu dwóch Oblatów, którzy spędzili święta razem z nami. Mogłem też ofiarować jedną Mszę Świętą w intencji kierowcy, który ucierpiał w śmiertelnym wypadku mego kolegi, księdza Mariana. Nie wiem, kto pamiętał o wsparciu duchowym poszkodowanemu, jednak moje doświadczenie mi mówi, że ból po tragicznej śmierci bliskiej osoby często przesłania cierpienia żyjących. Myślę, że ksiądz Marian też sobie tego życzył. A z tej historii płynie wniosek, że księży jest za mało. Jeszcze obecnie mam trzy zaległe intencje za zmarłych Oblatów. Mamy obowiązek odprawienia takiej intencji każdego miesiąca. Ja muszę czekać, by też obowiązek wypełnić nieco później. Mogę, jak czynią to nasi parafianie w pilnych ich intencjach, poprosić misjonarzy na Madagaskarze o odprawienie, ale ten obowiązek ja chciałbym spełniać osobiście, chociaż z opóźnieniem. Przełożeni o tym wiedzą.

Uradowałem się w przedświątecznym tygodniu widząc podczas spotkania więcej współbraci w stroju oblackim: sutanna i krzyż. Ja w Kanadzie miałem sutannę, ale w Ottawie jej nie używałem i w końcu została wysłana na Ukrainę. Nawet wstydziłem się, gdyż po kilkunastu latach była zniszczona, służyła mi zawsze w podróży, a w Ottawie była użyta jeden raz, ubrał się w nią uczeń polskiej szkoły, który na akademii w Domu Polskich Kombatantów grał księdza Mikołaja Kopernika. W Toronto nasza grupa duszpasterzy - oprócz mnie jeszcze dwóch - postanowiliśmy przywrócić używanie sutann, przynajmniej w niedziele. Po dyskusjach postanowiliśmy przesłać wymiary do zakładu w Poznaniu (kilkakrotnie taniej). Krawiec wymierzył nas dwóch (Ojciec proboszcz używał sutanny w poprzedniej parafii) i po trzech tygodniach otrzymaliśmy przesyłkę. Sutanna na mego współbrata pasuje doskonale, moja okazała się kilka centymetrów za wąska. Winni nie są krawcy, tylko ja. Po prostu poszedłem – po raz pierwszy w Toronto – do lekarza. Pan doktor odnowił mi recepty zastępując pewien lek, którego z całą pewnością potrzebuję. Organizm zareagował nietypowo. Przez 10 dni przybyło mnie 4 kilogramy na wadze i właśnie te 5-6 centymetrów w obwodzie. Zimą trudno schudnąć, skoro spacerować mogą odbywać nieczęsto (śnieg, deszcz, błoto, mokre ulice) i korzystam jedynie z ruchomej ścieżki w piwnicy domu. Staram się chodzić, aż się spoć, ale waga nie zmienia się. Po Nowym Roku odwiedzę jednak lekarza, który ma

swój gabinet po drugiej stronie ulicy. A mój proboszcz już szuka nowego rozwiązania, abym wkrótce miał sutannę, którą dopnę na sobie. Stąd wniosek, że będę miał dwie sutanny.

Wraz z sutannami przyszyły alby dla duszpasterzy (moja pasuje) i 30 strojów dla ministrantów i ministrantek. Po raz pierwszy w pełnym stroju pokazali się w kościele na Pasterce. Strój składa się z czerwonej sutanny i białej komży. W poznańskiej pracowni po raz pierwszy szyto stroje dla ministrantów o wzroście 115 cm, a także jednemu do wzrostu 190 cm. Ministranci służący przynajmniej trzy lata używają pelerynek zielonych, a po pięciu latach zakładają pelerynki czerwone. Grupowi używają pelerynek w złotym kolorze z frędzlami, tylko generał i jego zastępca mają pelerynki złote bez frędzli. Ojciec Proboszcz ma w tej dziedzinie doświadczenie. W poprzedniej parafii było ponad dwustu ministrantów. Tutaj jest już ponad sześćdziesięciu, a w sierpniu służyło kilkunastu. Moim problemem jest pomóc im, aby się modlili, nie tylko strojnie ubierali.

Czy można być chrześcijaninem praktykującym, a jednocześnie niewierzącym? Na takie pytanie sami sobie odpowiedzcie. Wyobraźcie sobie grupę osób, które w pewnej polskiej parafii w poszukiwaniu pieniędzy na zbożne cele zorganizowały zabawę parafialną. Obiad przywożony z polskiej restauracji był smaczny, nawet o dolara tańszy, niż zazwyczaj i już przez to samo dochód powiększył się o 150 dolarów. Organizatorzy włożyli serce w przygotowaniu dekoracji, były występy artystyczne, była trzyosobowa orkiestra przygrywająca do tańców, były występy solistów godnych braw i nagród na festiwalach. I tylko jedno. W każdą niedzielę pięć godzin wcześniej na tej samej sali parafialnej jest odprawiana Msza Święta po polsku. W kościele o tej samej porze jest Msza Święta po angielsku. Co mnie zdenerwowało? Propozycja, aby tego dnia odprawić tylko w kościele jedną Mszę Świętą, częściowo po polsku, ponieważ... nie zdążą udekorować sali. Bankiet ważniejszy od Ofiary Chrystusowej? Bez względu na rozwiązanie problemu ekipa bankietowa wystawiła sobie u mnie świadectwo swojej (nie)wiary pomimo najlepszych intencji.

Kiedy pogoda jest znośna, dobra lub wspaniała, korzystam ze spacerów po mieście. Niedaleko ode mnie (godzina szybszego spaceru) znajduje się miejsce, gdzie przed dwustu laty Francuzi zbudowali fort i nazwali York. Tam był początek miasta Toronto. Tam też wojska amerykańskie w 1812 roku wygrały bitwę, jedną z nielicznych, w której przegrali Francuzi. Pozostali przy życiu wycofali się na wschód, fortyfikując Kingston. Mogłem poznać życie w garnizonie, sposób przechowywania prochu (beczki z metalu, który nie iskrzy). W kuchni młodzież zajęta była gotowaniem według starej receptury. Nie byłem głodny, więc nie kosztowałem i nie zatrzymałem się w tym pomieszczeniu dłużej. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak mogła spać setka żołnierzy w niezbyt dużym pomieszczeniu, a jeszcze było miejsce dla rodzin niektórych żołnierzy? Dziwili się informatorzy, że dowództwo jadło na talerzach używanych przez ludzi klasy średniej, chociaż należeli do klasy wyższej. Mnie wciąż zastanawia, czy owoce podawane królowi na złotym półmisku lepiej mu smakują? Raz pytałem o to w pewnym muzeum, ale w odpowiedzi przewodnik tylko się uśmiechnął i pozostawił mnie w niewiedzy. Teraz przypomniała mi się historia z galerii sztuk pięknych, kiedy po oprowadzeniu wycieczki przewodniczka poprosiła o pytania, a pewna pani skorzystała z tej propozycji: „Czym wy traktujecie podłogi, że tak się wspaniale błyszczą”? Nie zawsze to samo interesuje naukowca, artystę czy turystę. Ja w muzeach nieraz już odkryłem nowe myśli do kazań. Ciekawe, co odkryję w Tłusty Czwartek zwiedzając Hollywood? Bilet i miejsce w hotelu świętego Bonawentury mam już opłacone

W listopadzie ojciec proboszcz zabrał mnie na wycieczkę do Niagary. Samochód ma wygodny, autostrada nie była zatłoczona, a pogoda nie przeszkadzała, chociaż słońca widać nie było. Zwiedzanie zaczęliśmy od pewnego fortu, ale jest już po sezonie i ani żywej ani nieżywej duszy nie widzieliśmy. Brama wejściowa też była zamknięta. Mogłem jedynie zobaczyć za rzeką amerykańskie miasto Buffalo. Tym razem nie interesował nas wodospad. Zwiedzaliśmy muzea. W przewracającym się czteropiętrowym domu, którego dach jest zaledwie 4 metry nad chodnikiem, znajduje się muzeum figur woskowych. Można zobaczyć Matkę Teresę, Brata Roger, Hitlera, Stalina, Papieża, najcięższą kobietę świata, ludzi żyjących przed setkami lat, ich narzędzia pracy... Na końcu przechodzi się przez drewniany most długości 6 metrów, z barierkami, obudowany walcem z ciemnych, kolorowych płytek. Walec obraca się przy dźwięku metalicznej muzyki, o ile coś takiego muzyką nazwać można. Wszedłem, chwyciłem się barierki i dotarłem na drugi brzeg mając wrażenie, że most razem z walcem obraca się, a przynajmniej przechyla. W San Francisco byłem w muzeum, gdzie można było ominąć obszar „trzęsienia ziemi” i informacja była lepiej widoczna. Wybrałem jednak ruchomą platformę imitującą trzęsienie ziemi o sile 6 stopni. W Niagarze zdawało mi się, że innej drogi nie ma, a cofać się przez wszystkie sale nie chciałem. Po zejściu z mostu dobrze mi się w głowie kręciło. Dopiero po chwili mogłem iść dalej i zobaczyłem, że dla lękliwych jest przejście „bezpieczne”. Pozostała jedna sala, ale przy drzwiach był turysta robiący zdjęcie turystki. Nie tylko my kulturalnie zatrzymaliśmy się, aby nie przeszkadzać. Dopiero po przejściu rozpoznaliśmy, że są to figury woskowe. Przechodząc między nimi wszyscy wymawiali kulturalne słowo „przepraszam”. Ja też.

Byłem też w muzeum bandytów i złodziei, przedstawionych w wosku. W Londynie w muzeum figur woskowych „nocą” przechodziłem ulicą złoczyńców, na której straszliwi żywi artyści. Tutaj były makabryczne sceny z życia najsławniejszych morderców, a także sceny z magazynowania porąbanych ludzi w zamrażalnikach, wisielców itd. Tu też trzeba mieć silne nerwy, a w głowie nic ciekawego się nie zrodziło. Natomiast oszukano mnie w „Muzeum motocykli”. Tak pisało nad wejściem, pobrano ode mnie zapłatę, wręczono bilet i wskazano początek trasy zwiedzania. Były tam motocykle sprzed kilkadziesiąt laty, najwięcej z czasów Drugiej Wojny Światowej, utrzymane w doskonałym stanie, błyszczące, gotowe do jazdy. Przy każdym pojeździe był opis zawierający informacje techniczne, a także jego historię: nazwisko posiadacza, czas i miejsce używania oraz...

aktualna nieniska cena. Mogłem kupić i wyjechać z muzeum na wybranym ekspozycie. Do dokumentów dodawano też gwarancję.

Natomiast bardzo zadowolony byłem z pobytu w ogrodzie botanicznym pod dachem. Można było chodzić alejkami na różnych poziomach, podziwiać rośliny tropikalne nad strumykami z wodą ciepłą, jak na Madagaskarze. Dzieci wchodziły do obszernej klatki, aby przeżyć spotkanie z ptakami. Jedna z dziewczynek po takim spotkaniu z papugą rozplakała się. Papuga usiadła na jej delikatnej główce, a pazurki zadrapaly skórę. Pomimo tego po chwili tę samą papużkę pogłaskała, kiedy bez zadania bólu ptaszek usiadł na jej dłoni. Mało czasu zostało nam na podziwianiu motyli, podobno dziesięć tysięcy tych owadów mieszka pod szklaną kopułą. Jeszcze przejechaliśmy przy zegarze słonecznym z kwiatów, ale było już po zachodzie słońca, więc godziny nie mogliśmy odczytać. Wycieczkę zakończyliśmy w stylowej kawiarni w pięknym miasteczku nad brzegiem jeziora Ontario. Zdziwiłem się, że ceny były niskie, a kawa i sernik bardzo smaczne. Ulice były już ozdobione na Boże Narodzenie, a kolorowe światła na domach i drzewach gustownie ułożone, jak w całej Kanadzie, przez cały Adwent. W drugi dzień Bożego Narodzenia rozbiera się choinki. Żarówki świecą dłużej, oczywiście widoczne tylko wieczorem i nocą. Drugi dzień Bożego Narodzenia obchodzony jest tylko przez Polaków, dla Kanadyjczyków jest to dzień pracy, zakupów po cenach bardzo obniżonych i dzień oddawania prezentów, dlatego w Kanadzie do prezentu trzeba dołączyć paragon, aby obdarowany mógł oddać go w sklepie, jeśli dar mu nie odpowiada (nie w jego guście, ma już taki albo potrzebuje pieniądze na inny cel). Polak by się obraził, gdyby dowiedział się o tym, że jego prezent był zamieniony na dolary lub złotówki. Kanadyjczyk jest człowiekiem praktycznym. Ja zaś otrzymując prezenty nieraz się modłę słowami Ewangelii „Oświeć ich, Boże, bo nie wiedzą, co czynią”. Po pieniądze nie chodzę.

Przy samym wodospadzie nie zatrzymaliśmy się, jedynie wyraziliśmy pragnienie zobaczenia tego wodospadu podczas mrozów. Zamarznięta woda zwana lodem w przeróżnych formach ma swoje uroki, zwłaszcza podświetlona kolorowo. Może nawet uda mi się kiedyś to zobaczyć. A wracając do domu wstąpiliśmy jeszcze do Oblatów, aby jednemu ze współbraci złożyć życzenia urodzinowe i – oczywiście - zjeść kolację.

Skoro w liście doszedłem do tematu jedzenia, wspomnę o obiedzie z seniorami. W poniedziałki i wtorki gromadzą się emeryci na parafialnej sali, aby pograć w bingo, powspominać, pogwarzyć. Co kilka miesięcy zapraszają nas na wspólny obiad. Nawet trudno mi byłoby powiedzieć, z jakiej okazji był ostatni. Talerze jednorazowego użytku napełnia się osobiście i wtedy jestem zadowolony. Niestety, pewnego razu w swej gorliwej życzliwości przyniesiono mi talerz pełny smacznych rzeczy, więc znów musiałem pomodlić się wspomnianymi już wyżej słowami: „Oświeć ich, Boże, bo nie wiedzą, co czynią”. Proponowano mi zjeść, ile chcę i ile mogę, resztę zostawić. Od czasu pobytu na Madagaskarze jestem bardzo wrażliwy na szacunek dla jedzenia i nie zostawiam niczego, co włożę na talerz, ale też nie wkładam więcej, niż chcę zjeść. W Kanadzie marnuje się wiele jedzenia. Co prawda, „lepiej, aby zepsuło się jedzenie, niż miałby się zepsuć żołądek”, mnie ten słuszny argument nie przekonuje. Jeśli ponownie znajdę się w podobnej sytuacji, ze wspólnego obiadu w tej grupie zrezygnuję. To kosztuje mnie zbyt dużo nerwów. Ostatecznie tym razem przyniesiono mi drugi talerz i mogłem odłożyć część jedzenia, które na zdrowie by mi nie wyszło. Co zrobiono z tym jedzeniem, nie wiem.

Do tej pory wydawało mi się, że doświadczyłem wszelkiego rodzaju prac duszpasterskich. W grudniu przekonano mnie, że jeszcze wiele muszę się uczyć. Już w październiku pewna grupa osób organizujących rekolekcje dla kandydatów do nowych kręgów Domowego Kościoła nie mogła znaleźć polskiego księdza, który wygłosiłby konferencje i odprawił Msze Święte. O pomoc prosili mego proboszcza, który do wakacji był wikarym w parafii kandydatów do nowego kręgu. Ja nie wiedząc, o co chodzi, zgodziłem się. I wtedy dopiero ojciec proboszcz zorientował się, że na drugą niedzielę Adwentu pozostanie sam w parafii, gdyż trzeci z nas prowadził rekolekcje adwentowe w kilku polskich parafiach. Na szczęście, dwóch współbraci przybyło w gościnę i „przy okazji” pracują jeszcze więcej ode mnie. Ja zaś otrzymałem program i materiały do czterech konferencji o zasadach życia Ewangelia. Starłem się przygotować, chociaż mój sposób głoszenia konferencji, raczej „gawędziarski” niż kaznodziejski, znacznie odbiegał od formy zaproponowanych nauk. Po prostu ja nie umiałbym naśladować stylu rekolekjonistów tego ruchu. Organizatorzy musieli to zaakceptować. Nie wszystko mogę opisać, w tym ruchu, jak i w wielu innych stowarzyszeniach, każdego uczestnika obowiązuje tajemnica, ale niektórymi moimi spostrzeżeniami mogę się podzielić. Zgodnie z planem, wsiadłem do samochodu prowadzonego przez organizatorkę rekolekcji w piątek po godzinie trzeciej po południu, aby od godziny szóstej witać przybywające rodziny. O siódmej była przewidziana kolacja, potem Msza Święta, dyskusje w małych grupach pod kierunkiem rodzin z kilkuletnim doświadczeniem, spotkanie animatorów i po 11-ej spoczynek. Tymczasem o 5-ej wieczorem ruch na autostradzie tak spowolniał, że pieszo szło się szybciej. Przez teren stacji benzynowej jechaliśmy pełne dwie godziny. My jeszcze kupiliśmy, ale nieco później zabrakło paliwa, a także jedzenia i picia w barach. Poznaliśmy przyczynę tak wolnej jazdy. Został zamknięty ruch na pewnym odcinku autostrady, gdzie zderzyły się dwa ciężkie pojazdy: samochód ciężarowy z autobusem wiozącym młodych hokeistów, a na nich wpadło 25 samochodów osobowych. Przyczyną był topniejący na jezdni śnieg. Przed tym zamknięciem dla ruchu odcinkiem wszystkie samochody zjeżdżały na drogę objazdową. Zjazd był bardzo wąski, na jeden pojazd wolno jadący. A w piątek Kanadyjczycy udają się na odpoczynek do swoich „wiejskich” domków. Dojechaliśmy przed godziną jedenastą w nocy i zastaliśmy pięć z dwunastu oczekiwanych rodzin. W sobotę rano dowiedziałem się, że siostra zakonna przybyła o trzeciej w nocy, chociaż wyjechała pół godziny

później ode mnie. Ostatecznie przybyli wszyscy i rozpoczęliśmy rekolekcje w sobotę rano, nie zmieniając programu.

Podziwiałem organizację rekolekcji. Dwanaście rodzin przybyło z dziećmi, które zostały podzielone na grupy. Jedyne najmłodsze nieraz nie chciały opuścić rodziców. Starsze dzieci pracowały i uczyły się pod kierunkiem siostry zakonnej i młodzieży. Nie mogła dojechać rodzina mająca opiekować się młodszą grupą dzieci, ale dzięki telefonowi komórkowemu z pobliskiego London przybyła z pomocą inna rodzina. Nie liczyłem uczestników, ale radzono mi przygotować 80 komunikantów do konsekracji. Dzieci też pięknie się modliły. W kaplicy było dość ciasno, nikt nie rozmawiał. Gwar, ale nie hałas, był dopiero na korytarzu. Po obiedzie dzieci lepiły bałwany i rzucały się śnieżkami, a potem postawiły mokre buty przy kominku, aby na podróż w niedzielę mieć je suche. Po domu wszyscy chodzili w miękkim obuwiu. Przy pożegnaniu pytałem młodszych, co im się najbardziej podobało? Wszystkie odpowiadały jednakowo: „Było dużo dzieci”. A ja do domu w Toronto dojechałem szybko, Jaka stąd nauka? Rozpoczynając podróż mam zwyczaj prosić Świętego Krzysztofa o opiekę w drodze, aż do celu i szczęśliwego powrotu do domu. Tym razem też robiłem to, ale po cichu. Dojechałem po ponad siedmiu godzinach, zamiast przez dwie i pół. W drodze powrotnej poprosiliśmy patrona Kierowców o opiekę już głośno. Dojechalśmy po dwóch godzinach i 20 minutach. Wnioski proszę sobie wyciągnąć. Ja też już wyciągnąłem. W roku 2005 święty Krzysztof nie ten jeden raz pouczył mnie skutecznie o potrzebie jego opieki.

W dniu 5. grudnia uczestniczyłem w obłackim ośrodku rekolekcyjnym we Mszy Świętej, podczas której nasz parafianin złożył śluby wieczyste, a 11 dni później w naszym kościele świętego Kazimierza otrzymał Święcenia Diakonatu. W najbliższą niedzielę wygłosił pierwsze kazanie w języku polskim i angielskim. Już znana jest data jego Święceń Kapłańskich: 15 czerwca 2006, także w naszym kościele. Bardzo pragnę, aby chór parafialny przygotował pieśń „Obłacki Krzyż”. Od trzech miesięcy poszukuję nagrania tej pieśni, którą słyszałem dwukrotnie w wykonaniu chóru seminarzystów z Obry w 1980 roku podczas Mszy Świętej pożegnalnej w Poznaniu i Katowicach przed wyjazdem na Madagaskar. Pytałem kilku ojców, którzy należeli do zespołu Gitar Niepokalanej, pytałem ojców oblatów, którzy wtedy śpiewali, ale... po raz drugi w tym liście zacytuję to przysłowie: „szewc bez butów chodzi”. Przesłano mi jedynie nuty i to tylko na jeden głos, słowa i chwytę na gitarę. A poszukujący w Polsce dla mnie tych nut nie miał łatwego zadania.

Uczestniczyłem w kilku spotkaniach opłatkowych grup parafialnych. Wszędzie ta sama atmosfera, na każdym spotkaniu opłatek wypiekany przez grupę parafian. I życzenia. I marzenia. I uśmiechy. I nie zawsze wiarygodne. Ostatnio dowiedziałem się, że w jednej organizacji polonijnej istnieją dwa zarządy wzajemnie się zwalczające i korzystające z pomocy adwokatów. Pieniądze przeznaczone dla Polaków są wydawane niezgodnie z przeznaczeniem ofiarodawców. Szkoda.

Pierwszy raz pojechałem poprowadzić modlitwy za zmarłego kombatanta i od razu kombatanci zrazili mnie do siebie. Spodziewali się swojego kapelana, przybył nieznanymi im ksiądz. Po modlitwach, ale jeszcze przed zakończeniem, odprawili swój obrzęd żołnierski. Stosownie do kanadyjskiego zwyczaju, często wpina się w kłapę ubrania czerwone kółko oznaczające kroplę krwi przelaną za wolność niekoniernie swojego kraju. W domu pogrzebowym wrzuca się te znaki do trumny na ciało zmarłego, a wszystko czyni się z hałasem, jakby tych kilkunastu osiemdziesięciolatków - byłych żołnierzy - tworzyli pułk po rozkazie „do ataku”. Żona zmarłego nie została już dopuszczona do głosu. Na cmentarzu kombatantów już nie było i atmosfera miała charakter modlitewny. Podobnie podczas Mszy Świętej w kościele. Pod tym względem kombatanci w Ottawie sprawiają więcej zamieszania właśnie w kościele. Zniechęcony ich aroganckim zachowaniem w domu modlitwy przestałem chodzić do domu polskiego w Ottawie i także w Toronto nie zamierzam nawet szukać ich siedziby.

Rekolekcje parafialne przeprowadził Ojciec Jarosław z Kędzierzyna. Parafianie nauczyli się kilku nowych pieśni, nauki trafiały do serca, więc wiele godzin spędziliśmy w konfesjonatach. Ostatniego tygodnia jeździmy także do innych parafii polonijnych i zazwyczaj dwudziestka księży przez dwie lub trzy godziny siedzi na krzesłkach. To cieszy. Ale przy okazji wspomnę o nowym modelu konfesjonatu. Ten kościelny mebel w Kanadzie jest zawsze zamknięty, w Toronto nie widzę osoby, jedynie słyszę głos i nie zawsze mogę rozpoznać, czy spowiada się dziecko, czy starsza osoba. Ale jest to konfesjonał stary, niewygodny, trudno ułożyć nogi, aby nie drętwiały. Natomiast konfesjonał w nowym stylu ma dużą przestrzeń, ksiądz siedzi nieraz na krześle na kółkach, a spowiadający się może wybierać, czy chce wyznawać grzechy przez tradycyjną kratkę, czy też siedząc na krześle spowiadać się rozmawiając z księdzem. Co na to moi Korespondenci? Jak wolicie?

W ostatnim liście obiecałem nie pisać do Was w Starym Roku 2005. List piszę na komputerze i nie od razu, a drukuję, kiedy zapełnią się cztery strony. Tak stało się tuż po Bożym Narodzeniu. Słowa jednak dotrzymuję. Nie przeczytacie tego listu przed Nowym Rokiem, gdyż wysyłam w czwartek, a do soboty do Waszych polskich rąk nie dojdzie. Ja zaś jeszcze w czwartek wieczorem zaczęłam pisać list trzydziesty ósmy. W ciągu trzech miesięcy fragmenty znów złożą się na nowy, nudny i bez dowcipów. No, może znacie takie zdanie, które można czytać od końca? „Wół utył i ma miły tułów”.

I tak radości wciąż wcięż przeplatają się ze smutkami, życzliwość z podstępem, jak w codziennym życiu bywa, a w moich listach na niepotrzebną pamiątkę pozostaje. Mimo wszystko, uśmiechajcie się każdego dnia Nowego Roku Pańskiego 2006.

*Z serdecznym pozdrowieniem  
W Chrystusie i Maryi Niepokalanej  
O. Jan Sadowski, OMI*